

Wiesław Ochman - śpiew jest moim życiem

Myślę, że zawsze ze sporym sentymentem powraca się do teatru, który ukształtował artystę. W moim przypadku to Opera Śląska w Bytomiu. Była dla mnie rodzajem akademii muzycznej. Tu spotkałem wspaniałych ludzi, szlachetnych w swoim podejściu do ludzi i chętnie wprowadzających młodych w arkana sztuki. Zresztą, w Bytomiu zawsze czułem się i nadal czuję dobrze. Gdy pierwszy raz przyjechałem do tego miasta, po studiach w Krakowie, wydało mi się smutne, ale nie obce. Moja rodzina, warszawska Praga była podobna. Oprócz tego, scena bytomska zachowała pewną cechę, której brakuje innym teatrom. W Metropolitan Opera w Nowym Jorku znałem jedynie jednego polskiego krawca. Tam to działa jak machina, a tu pracuje się w kręgu ludzi znających się i wtajemniczonych w sztukę. To wszystko wpłynęło na moją decyzję, że jeżeli już w ogóle mam świętować jubileusz, to tylko w Bytomiu, mieście, którego jestem honorowym obywatelem. Zapraszały mnie inne teatry, ale odmówiłem. Wiem, że jest to dla całego zespołu kolosalny wysiłek, przygotowanie takiego tygodnia koncertów, spotkań, prezentacji i spektakli, które wyreżyserowałem. Jestem wszystkim za to wdzięczny.

Początki kariery

Mój pierwszy występ w Operze Śląskiej odbył się za kulisami, w „Casanovie” Ludomira Różyckiego. Jest w tej operze taka scena, kiedy Casanova zakrada się do haremu i uwodzi hurysę. Ona zdejmuje: pierwszy szal, drugi szal, trzeci... Publiczność już zaczyna liczyć na jakąś scenę erotyczną, tymczasem odzywa się z oddali głos muezina. Hurysa pada na kolana, a Casanova ucieka. Tym muezinem byłem ja. Tydzień później wystąpiłem już w głównej roli, jako Edgar w „Łucji z Lammermoor” Donizettiego. To były moje pierwsze występy operowe. Właściwie jednak działalność artystyczną rozpocząłem jeszcze w czasie studiów w krakowskiej Akademii Górniczo-Hutniczej. Występowałem w tamtejszym zespole, gdzie nie tylko śpiewałem, ale, w co dziś trudno mi uwierzyć, tańczyłem. Prowadziłem również konferansjerki, dzięki czemu zacząłem mieć chody u stołówkowych kucharek, które chętnie dolewały zupy ulubionemu „artyście”.

Pasja plastyka

Z wykształcenia jestem ceramikiem, ale nigdy nie pracowałem w przemyśle ceramicznym. Muszę też przyznać, że nie przepadam za porcelaną. Wiem, że: Miśnia, Tułowice i Ćmielów, to wspaniałe wyroby. Przede wszystkim jednak, do picia kawy, a nie zbierania i pasjonowania się. Za to uwielbiam malować. Od dziecka zaopatrywałem się w ołówki, kredki i zawsze coś rysowałem. Fascynował mnie kolor, oglądałem reprodukcje. Potem zafascynował mnie pejzaż. Na AGH opuszczałem niektóre zajęcia i malowałem, na brystolu tuszem i pastą do zębów. Większość z moich prac z tamtego okresu było związanych ze śniegiem, bo do tego właśnie najlepsza była pasta. Śpiew jest moim życiem, ale pasją – malarstwo. Kocham wszystkie style, pod warunkiem,



że dostarczają mi przeżyć. Rozlaną farbę z kubła, którą próbują okrzyknąć sztuką, ja uznaję za medialną czkawkę, która szybko minie.

Teraz reżyseruje

Przez 15 lat występowałem w operze w Hamburgu. W tamtejszej akademii chciałem studiować reżyserię. Był to spory wydatek. Jednak profesor Goetz Friedrich załatwił, że mogłem chodzić na zajęcia jako wolny słuchacz. Zetknąłem się tam z największymi reżyserami. To dało efekty. Pamiętam, jak „Chowańszczyznę” w Metropolitan reżyserował Niemiec i nie rozumiał rosyjskiego języka. Potrafił jednak przyjść i zapytać. Nie ukrywam, że jedną ze scen ja ułożyłem. Potem pisano, że była znakomita. Grałem wówczas księcia Golicyna. Po spektaklu przyszedł do mnie potomek Golicyna i zapytał „Skąd pan wie, że mój pra pra był takim łobuzem”. To był wielki komplement. Za często musiałem też grać w spektaklach, w których reżyser wymagał rzeczy przeciwko muzyce i librettu. Przecież muzyka mówi o akcji. Chodzą na przedstawienia młodych reżyserów i często odnoszę wrażenie, że oglądam w kółko to samo, co nie ma nic wspólnego z treścią. Rozbierają się do naga, uprawiają seks, sikają do pisuarów. Tak burzy się estetykę teatralną, ale nie robi się wartościowych spektakli operowych. Przyjaźnię się z wieloma wielkimi aktorami i obserwując ich przekonuję się, że to co dzieje się na ekranie czy scenie musi być prawdą. Zresztą, taki Jack Nicholson nic nie eksperymentuje, on jest. Pamiętam jak przyszedł



Krystyna, Wiesław Ochmanowie, Jarosław Świątała

za kulisy w MET, gdy graliśmy Zapytał, jak można równocześnie biegać po scenie i śpiewać. Ja mu pogratulowałem wtedy grania w „Locie nad kukułczym gniazdem”. Odpowiedział „Ja nie gram., ja jestem”. To jest właśnie ta różnica. Oprócz tego moja działalność reżyserska zastępuje mi pracę pedagogiczną. Przygotowując spektakl, pomagam młodym ludziom. Uczę ich zachowań scenicznych, a często prowadzę z nimi lekcje śpiewu. Lubię taką pracę.

Poliglota

Znam siedem języków. Gdy śpiewałem w Hiszpanii, to właśnie kardynał Wojtyła został wybrany papieżem. W Polsce nie było można jeszcze dostać żadnych jego tekstów, a w Hiszpanii już były. Kupiłem. Gdy wracałem z Madrytu, siedziałem obok miłego pana, który zainteresował się książką. Okazało się, że to autor podręcznika do nauki hiszpańskiego. Z jego książki, ze specjalną dedykacją, nauczyłem się . Włoskiego nauczyłem się regularnie, od początku nauki śpiewu. Angielskiego nauczyłem się od wujka mojej żony, absolwenta Oxfordu. Był sparaliżowany po wylewie, a nasze lekcje były dla niego przyjemnością i odskocznią Po niemiecku musiałem nauczyć się, śpiewając w Berlinie Wschodnim. Wcześniej potrafiłem jedynie powiedzieć „hande hoh”. W Berlinie moją pierwszą rolą śpiewaną po niemiecku był Turiddu w „Rycerskości wieśniaczej”. Uznano, że nawet można było mnie zrozumieć. Francuskiego zacząłem uczyć się, gdy doszedłem do wniosku, że we Francji nie mówią innymi językami. Po czesku, gdy zaproponowano mi nagranie



„Jenufy” Janacka. Pomagały mi koleżanki-śpiewaczki, Czeszki, które pracowały w Warszawie. Rosyjskiego nauczyłem się jeszcze w szkole, mając świetnego nauczyciela.

Tenor, głos dziwny

To trochę, przepraszam że tak powiem, nieludzki głos. Ludzkim głosem jest bas, jeszcze baryton. Tenor przekazuje coś niematerialnego, tony niebiańskie. Muzyka przenosi w inny świat, a głos tenorowy jest właśnie takim głosem z innego wymiaru. Górne dźwięki u sopranów są naturalne, a u tenora są zjawiskiem. Franco Corelli na przykład uwielbiał się górami popisywać. Jak tylko zaśpiewał dobrą górę, to trzymał i trzymał, niezależnie od tego, co było napisane w nutach. To porywa publiczność. Zresztą, co tu ukrywać, dla tenorów napisane są najpiękniejsze melodie. Moje ulubione partie operowe, to Arrigo w „Nieszporych sycylijskich” Verdiego, Dymitr Samozwaniec z „Borysa Godunowa” Musorgskiego, Don Ottawio w „Don Giovanni” Mozarta, Stefan w „Strasznym Dworze” i Jontek w „Halce” Moniuszki, oraz Cavaradosii w „Tosce” Pucciniego.

Największa radość

Mój dzień jest za krótki. Mam bardzo dużo rzeczy do zrobienia. Najbardziej męczy mnie leżenie na plaży bez ruchu. Nie lubię opowiadać o mojej pracy charytatywnej, bo uważam, że taka działalność może być omawiana jedynie z własnym sumieniem. Organizując aukcje malarstwa polskiego w Nowym Jorku, a było ich już 10, najpierw przejeżdżam 5,5 tysiąca kilometrów po naszym kraju. Oglądam wszystkie dzieła, a malarze pozwalają mi wybrać. Potem muszę przemyśleć, na co przeznaczyć zdobyte fundusze. Teraz priorytetem jest dom muzyka seniora. Potem radość sprawia mi pomaganie: stypendia, instrumenty, wydawnictwa. Przetransportowałem do USA ok. 900 obrazów. Zaraziłem tam ludzi polską sztuką. Konsulat Generalny w Nowym Jorku może pomieścić 200 osób. Na aukcje z całej USA przybywa około 700 osób. Jeżeli już mam odpoczywać, to najlepiej z książką i jeszcze w Hiszpanii. Zimą lubię jedynie na obrazach Fałata, a tam ciągle mam słońce.



©Regina Gowarzewska-Griessgraber
r.gowarzewska@dz.com.pl